

Doktor Jintot uściśnął chłopcu rękę, udając wesołość.

— Dziękuję ci, mój dobry Jakóbku!... Lecz dlaczego nie zatrzymałeś nic dla siebie?

— A mnie na co pieniądze?... Posiadłem co było najcenniejszego... dyplom na króla... Tego jednego tylko chciałem, aby mieć prawo ożenić się z Julią...

— Któż ci powiedział, że to jest dyplom na króla?

Uśmiechnął się z miną tajemniczą.

— Nikt!... Sam widziałem... A przytem on mi go przyrzekł...

— Kto?

— Pan Laborda.

— Kiedy?

— W nocy... Powiedział mi: „Wytoczę krew z dyrektora, a ty nikomu o tem nie powiesz, bo inaczej zesłaby tu policja, ja zaś dam ci za to, czego tylko zapragniesz...” Wtedy ja mu powiedziałem, że, aby ożenić się z Julią, chcę być królem... Wówczas on przyrzekł najsolennie, że mi daruje papier, zapomocą którego ogłoszony zostanę królem...

— Więc to on ci go dał?

Twarz Jakóbka nagle zapalała gniewem.

— Nie! — mruknął. — Gdy mu odniosłem papiery, zażądałem mojego... On odmówił... popchnął mnie... nazwał idiotą... A potem zaczął zbierać i chować papiery wraz z moim dyplomem... Poznałem, że to mój, po pieczęci czerwonej i koronie...

— Cóżże wtedy uczynił?

— Nic! — odparł Jakóbek zmienionym głosem.

Jintot wziął go za rękę i dał mu do powąchania jakieś krople, które miał we flaszkach.

— Uspokój się! — rzekł głosem łagodnym, ale rozkazującym — i nie kłamiąc, odpowiedz! To ty go udusiłeś, aby mieć możność zabrania dyplomu?

Jakóbek skrzywił się cały i powiódł wokoło błędnym wzrokiem.

— Nie! nie!... Jeszczeby mnie policja zabrała!

Doktor dał znak pani Manescault. Ona go zrozumiała, więc pochyliła się nad chłopcem i rzekła:

— Nie lękaj się, Jakóbku! Nikt ci nic złego nie zrobi!

— Czy naprawdę?... Czy mnie nie pochwyca?

— Nie! Zapewniam... przyrzekam ci... tylko musisz nam opowiedzieć wszystko.

— Dobrze!... powiem tobie... ale nie jemu!...

Julia zwróciła się do lekarza:

— Chciej odejść, panie doktorze. Pozostaw mnie samą z Jakóbkiem. Wszakże widzisz, że jest spokojny i posłuszny.

Jintot powstał i udał się do pokoju, w którym znajdowali się sędzia, komisarz, infirmer z apteki i Robertin. Ten ostatni, który tylko co zeszedł z piętra, zaniepokoił się o panią Manescault.

— Niepodobna pozostawiać Julii samej z waryatem — wyszeptał — bo może stąd wyniknąć nieszczęście!

— Nie! jeśli nikt chłopca nie rozdrażni — odparł doktor.

— Nie mogę jednak pozwolić, aby w ten sposób wystawiano na szwank życie mojej siostry! — zawołał rozirytowany. — Idę do niej!

I zanim zdołano go zatrzymać wpadł do biura.

Udając serdeczność, podszedł do kanapy.

— To ja, mój dobry Jakóbku!

Chłopak na jego widok zerwał się natychmiast i usiadł. Wargi drgały mu konwulsyjnie, twarz się wykrzywiła, a oczy błysnęły gniewnym żarem.

— Idź precz! — wybełkotał groźnym głosem.

Julia przerażona powstała.

— Tak! tak!... Odejdź Marceli zaraz!

— Nie pójdę. Chyba, że ty pójdziesz ze mną!

I oparł się na stoliku, dotykając bezwiednie dyplomu, pozostawionego na nim przez doktora.

Jakób to spostrzegł i ryknął wściekle:

— A! złodzieju!... Chce mi skraść mój dyplom!

Zeskoczył z kanapy i zgrzytając zębami, rzucił się na Marceliego.

Julia krzyknęła z całej siły:

— Na pomoc!... Ratujcie!... O, mój Boże!... Marceli!

Wszyscy wpadli do pokoju.

Jakób, w nagłym napadzie furii, obalił Marceliego pod stół i siadłszy mu na piersiach, dusił go obu rękami.

— Ach! ach! — wył z dziką, zwierzęcą radością. — Dwoma palcami... tak, jak to robią doktorzy... uduszę jak gołębia!... Jak tamtego!... He? Czy i ty jesteś taki, jak Laborda?... Złodzieju!... Wbrew twojej woli, będę jedaak królem!

Guillaume, pochwyił go obu ramionami w pół ciała i podniósł z nadzwyczajnym wysiłkiem. Lecz furiat nie wypuścił z rąk ofiary, więc wszyscy trzej razem runęli na dywan.

Chrapanie brata Julii ucichło. Guillaume, zerwawszy się przy pomocy infirmera, odrywał od szyi Marceliego palce Jakóbka, który pienieł się, pluł i gryźć próbował. Wtedy komisarz ściągnął z jednego stołu kokierzec i owinał nim głowę i kadrub waryata, poczem niekształtny tłumok związał cienkim i mocnym szpagatem, który nosił z sobą zawsze w kieszeni.

Doktor podniósł martwe ciało Marceliego.

Julia upadła na kolana i rozpaczona zawołała:

— Mój brat!... O, mój Boże!... powiedz pan...

Doktor, sam mocno wzruszony, odparł:

— Sprobuję wdychania i masowania języka!

Zwrócił się do infirmera:

— Pomóż mi pan go przenieść do sali operacyjnej... potrzeba do tego przestrzeni, powietrza!

Owinięty kobiercem nieszczęśliwy Jakóbek nie poruszał się wcale.

— Rozwiąż go pan! — doradził sędzia śledczy.

Guillaume spełnił polecenie przełożonego i dotknął się ciała chłopca.

— Zdaje mi się, że i ten skończył...

Julia, mdlejąca, błagała:

— Powiedźcie mi!... powiedźcie mi panowie, czy mój brat umarł?

Deverrier nie odpowiedział, tylko podniósł młodą kobietę z kłeczek i skinął na pannę Helenę, stojącą przy drzwiach.

— Proszę odprowadzić panią Manescault do jej pokoju — i dodał pocichu — czuwaj panna nad biedną kobietą!

Sędzia śledczy i komisarz pozostali sami.

Milcząc, patrzyli na siebie dość długo. Wreszcie Guillaume machnął ręką.

— Wszystko wyjaśnione! — rzekł z pewnym odcieniem niezadowolenia w głowie. — Bądź co bądź przyznać trzeba, że równie pan sędzia, jak i ja, nie zmiarkowaliśmy się, o co idzie w całej sprawie...

Lecz Deverrier wruszył tylko ramionami i odparł suchym tonem:

— Ba!... Było od razu widocznem, że zbrodnia nosi na sobie cechy zwykłego dramatu w domu obłąkanych!... Gdybyś pan na początku nie zabrał się do rzeczy zbyt gorliwie, pragnąc dowieść, że nie utraciłeś jeszcze zawodowego węchu, byłbyś nam obu oszczędził niemało kłopotu i przykrości...

Guillaume spojrział na niego zdumiony. W pierwszej chwili chciał odeprzeć zarzut, lecz zamilkł i ukłonił się z uszanowaniem.

— Ma pan sędzia zupełną słuszość! — szepnął, a w słowach jego dźwięczał ton goryczy i ironii.

W tej chwili wszedł doktor Jintot z kilku dozorcami.

— Dla Robertina niema już ratunku! — oświadczył krótko.

I pochyliwszy się nad zwłokami Jakóbka, mruknął z ledwie dostrzeżonym wzruszeniem:

— A i ten także nie żyje!

Skinął na dozorców, żeby ciało zabrali i zwrócili się do Deverriera:

— Panie sędzio — rzekł — muszę mu jeszcze oddać papiery wartościowe, ofiarowane mi wspaniałomyślnie przez nieszczęśliwego Jakóbka. Sprawily mi one przykrą niespodziankę, gdy powróciwszy z więzienia do zakładu, znalazłem je u siebie. Przyznaję, że ze względu na ciężące na mnie podejrzenia, wolałem nie wspominać o nich, dopóki sprawa się nie wyjaśni...

Guillaume zawołał ze zdziwieniem:

— Musiałeś je, panie doktorze, ukryć bardzo zrećnie, jeśli jeden z naszych najzdolniejszych agentów szukał ich u ciebie dosyć długo... i napróżno. Jintot uśmiechnął się smutnie.

— Proszę postać do mego pokoju — powiedział — i kazać przynieść otwarte pudełko z watą, znajdujące się w mojej również otwartej bibliotece...

Komisarz uchylił czoła.

— Daję słowo, bardzo inteligentnie!

Doktor zauważył:

— Masz teraz, panie sędzio, w ręku za dwa miliony franków akcyi, pozbawionych właściciela.

Deverrier wznosił ręce w górę.

— Nie z braku ubiegających się o nie!... Dzienniki powtórzyły pańskie zeznanie, że prawdziwem nazwiskiem nieboszczyka Laborda jest Emanuel G.ffre, francuski poddany... Więc już, ani mniej ani więcej, tylko dwudziestu sześciu Gaffrów zapewnia, że są krewnymi milionerami!...

Weszła Helena.

— Jak się miewa pani Manescault? — zapytał Guillaume.

— Lepiej!... Przyszedł pan Marsol, jej narzeczony... i on ją uspakaja.

Deverrier żwawo chwycił za kapelusz.

— A więc, panowie i panno Heleno nie mamy co tu robić więcej!... Sprawiedliwości stało się zadość!

K O N I E C.